

Pismo to wychodzi  
trzy razy w tygodniu  
to jest: w Ponie-  
dzialek, Środę i  
Piątek, o drugiej  
po południu.

# ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36śc  
Nrów wynosi Złp.  
6 i przyjmuje się w  
księgarni Czecha,  
w handlach Koeha  
i Schreiberna.

ŚRODA 7 LISTOPADA

N<sup>BR</sup> 26.

1838 ROKU.

## KAPIELE W BADEN-BADEN, KARLSBAD I TOEPLITZ. (Z ANGIELSKIEGO.) (DOKOŃCZENIE.)

Po południu wyjechałem z Salzburg. Droga od tego miasta aż do wawozów Klamne, ciągnie się przez piękne łąki, skropione rzeką Solza; ładne wioski, miła pochyłość zielonością ubarwiona, pola bogatym żniwem pokryte, ładna wioska Hallein, wawóz Lueg, rozkoszna dolina Leudt, oto są przedmioty, które podróżny spotyka na tej drodze. Za doliną Leudt zaczyna się wawóz Klamne, tam musieliśmy przyprządz trzeciego konia. Wjechaliśmy potem w dolinę Ache; a nareście wśród gór, których wierzczołki są okryte śniegiem, ujrzeliśmy Hofgastein, a nieco dalej Gastein, dokąd przybyliśmy po szesnastu godzinach podróży.

Hotele w Gastein podobnie jak w całych Niemczech są bardzo

porządne, a nawet okazałe. Główny należy do Piotra Sztraubinger. Pochodzi on w prostej linii, s familii, która od trzyestu lat trudniła się w Gastein zyskową professą oberżystów; jest bardzo majątny i posiada najpiękniejsze łąki w okolicy. Stém wszystkiém jego kuchnia niejest odpowiednia wielkim jego dostatkom. W Gastein niema teatru, wieczierzają o w pół do dziewiętej i w godzinę potém idą na spacerunek; jednakże pobyt w tém mieście jest bardzo przyjemny spowodu wielkiego napływu cudzoziemców.

Tylko przez dni piętnaście zabawiłem się w Gastein stamtąd pojechałem do Franzensbad, woda tego miejsca zaprawiona cukrem i winem, jest przewybornym napojem. Woda ta czyści krew i ułatwia trawienie: doskonała dla osób limfatycznych, leczy osoby wycieńczone nadużyciami i przywraca rumieniec ko-

biętom; robią z nięj także doskonałe wino szampańskie. — Przejechałem tylko przez Franzensbad i prosto pojechałem do Toeplitz. Górzysta droga prowadzi przez Brux, Osseg, Belua, Seidschutz i Seidlitz; cały kraj pokryty jest zamkami i miastami. Mężczyźni i kobiety wokolicy Toeplitz są przystojni, wysokiego wzrostu i kształtnęj postawy; ubior mają czysty i zgrabny. Wszystkie kobiety mają dobrze uczesane włosy, a niektóre staką sztuką i gustem, iż najrzęczniejszy fryzyer paryzki lepięby niepotrafił.

W Toeplitz zajechałem do hotelu pocztowego, który mi polecono. Mój gospodarz, grzeczny i usłużny gaduła, jako są po większej części gospodarze hotelów niemieckich, pokazał mi apartamenta, w których mieszkał król i królowa saska, gdy jechali do Pragi na koronacyą cesarza austriackiego. Nająłem małą izdebkę, a potem poszedłem obejrzyć miasto.

Kąpiele w Toeplitz znajdują się w oddzielnych budowlach. *Stadtbad*, mieści trzy źródła ciepłe, dostarczające wody prywatnym kąpielom, a mianowicie do wspańiałego gmachu publicznego,

zwanego zamkiem księcia Klary. Po prawęj stronie *Stadtbad* jest drugi gmach przeznaczony dla dam (*fürstliche Frauenzimmerbad*), a przy nim trzeci gmach dla mężczyzn (*die Fürstenbad*). Dwa te gmachy tworzą zachodnią stronę placu kąpeli, północną zaś zajmuje zupełnie zamek księcia de Klary, miejsce schadzki wszystkich gości. — Zwiędziłem *Menschenbad*, publiczną kąpiel dla mężczyzn. Gmach ten jest pod ziemią, podobny do obszernęj piwnicy; sklepienie opiera się na ciężkich filarach, a światło pada przez małe okienka wychodzące na ulicę. Gdy m tam wszedł, gęsta para napelniała cały ten budynek, a pośród tych wyzięwów ujrzałem ludzi nagich, pokrytych naczyniami i bańkami, ich krew rumieniła wodę. Krzyżowały się tysięczne głosy, a pośród tych krzyków, chorzy, leżąc w kąpeli albo stojąc, nacięrali swoje rany. Przykry ten widok, przypomniiał mi obraz wystawiający *glie anime dell Purgatorio*, któren napotkać można przy skarbonach wszystkich kościołów we Włoszech.

Toeplitz leży pośród pięknych wzgórzów, zubożonych najszaconniejszemi skarbami natury.

Plaskorzeźba umieszczona na frontonie Stadthadu, przypomina, iż odkrycie tych wód winni jesteśmy zwierzętom, które przypadkiem wpadłszy w nie i oparzywszy się, krzyczeć zaczęły. Miasto jest piękne, ulice szerokie i dobrze brukowane. Książę de Klary, do którego należy, nie oszczędza wydatków na jego utrzymanie i upiększenie. Rządy, pruski i austriacki zbudowały tam szpital dla żołnierzy ze swoich krajów.

Spotkałem tam księcia B\*\*\* któregoś widział u doktora Giggart w Baden-Baden, a który był tak nieludzko stamtąd odepchnięty, s,przyczyny obawy, żeby tam nieumarł. Biędny książę! toż samo przyjęcie znalazł w Karlsbadzie; i stamtąd go wyprawiono. Wody karlsbadzkie, mówili tamtejsi doktorowie, za mocno działają na jego żołądek i wewnętrzności. Wyjechał więc z Karlsbadu do Marienbadu. Tam znalazł kościół zawałony pękami szwedel, które złożyli ulęczeni kalęcy. Lecz go tak przyjęto jak wszędzie. Przywieziony do rospaczy, odepchnięty zewsząd, niewiedząc dokąd się udać, książę przyjechał do Toeplitz i postanowił pozostać tam, chętnie czy

niechętnie. Tym razem spełniły się jego życzenia i został w Toeplitz, jako przekonywa wspinały grobowiec, w którym spoczywają jego szczątki.



## RÓŻA MARTIN.

S FRANCUZKIEGO.

Właściewo wybiła piąta z rana. Słońce już weszło, a jego złoty, z ukosa spadający promień oświetla alabastrowy posąg, stojący wkącie, który dwie ulice, *Pa-stourelle* i *du Temple*, zbiegając się formują. W ostatniej, najludniejszej, która prosto na plac *Grève* prowadzi, powstaje zwykle o tój godzinie wielki ruch i zatrudnienie. Jestto miesiąc październik, w którym wszyscy miłośkańcy z *la Limoge*, s koszem na plecach, kielnią w ręku i bochenkiem chleba pod pachą, zbierają się z największym pośpiechem na placu *hôtel de Ville* dla znalezienia na dni kilka roboty, która się w tój porze roku coraz rzadszą staje. Nie na dobre tym wyjdzie, którzy o tój porze, wracając z uczty lub zabawy, w czarnych frakach przez to miejsce przechodzić muszą. Ich smakowny ubior nieujdzie spotkania

się z opruszonými wapnem kaftanami pracowitych murarzy.

Człórech męczyzn, skłórych jeden szerokim płaszczem osłónięty, a drudzy trzój w czarnych, prostych surdutach, usiłowało już kilkakrotnie z najprzykładniejszą czerpliwostí otrząśóć z siebie nieprzyjemne tego spótkania skutki, a jednak nieoddalają się z miejsca: jeden wcisnął się w kąó tylnój bramy, drudzy dwaj stoją póśród ulicy, a czwarty na rogu, przy gościńcu *Gravilliers*, zajął stanowisko. Niezdaje się, abyto byli goście wracający z wesela; na twarzy ich maluje się jakaś surowóóć, okazująca wyraźnie, że ani przy dźwięku muzyki, ani wgronie wesółych tancerzy, niespędzili nocy. Ubrojeni są grubými, sękatými laskami, którými bądź dla rozrywki, bądź dla nadania sobie większej powagi, z łóskótem o bruk uderzają; oczy ich zwrócone są na towarzysza czarnym płaszczem okrytego, który stanąwszy przed domem, w niejakich przestankach sztuka pótyżnie do drzwi.

«Aha! to jest straż kupiecka,» rzekła jedna z mlóczarek do chłopca, ótwierającego okiennice od

sklepu; «teraz kto móże, niech bierze nogi za pas; bo ten, co się w tych ptaków szpony dostanie, niebardzo cieszyć się będzie!»

Mlóczarka nieomyliła się w swym domyśle; byłato w samój rzeczy straż policyjna z urzędnikiem na czele; a najlepszym tego było dowodem, że nim jeszcze pół godziny ubiegło, już przed strzeżonými drzwiami stanął powóz, do którój wkróóce jeszcze ścióólej strzeżony wsiadł męczyzna; poczym woźnica zaciąwszy konie, ku ulicy *la Cléf* pogonił.

«Kogóóto powieziono?» służąca zapytała czeladnika, który się razem z nią tój rannój scenie przypatrywał. — «Pana Martin,» odrzekł czeladnik; «przepadł nieborak!» — «Dokądże go powieóli?» — «Do więzienia *St. Pelagie*; lecz on niebardzo się zmartwi, gdyż mu tam na niczym zbywać niebędzie. Móžno w tój mierze zapytać się naszego sąsiada, który za długi wzięty, właśnie niedawno stamtąd powrócił.»

Na trzy miesiáce przed tym wypadkiem, pewien męczyzna, mający już około lat pięódziesiąt, przyszedł do bankiera, mieszkającego przy ulicy *Barbette*, i pra-

wie drżący z bojaźni, by mu jego prośby nieodmówiono, rzekł bardzo skromnym głosem: — «Czy niebyłbyś waćpan tak grzecznym zaliczyć mi na ten weksel gotówką?» — «Nieznam waćpana,» odrzekł mu krótko, ponury i przykry starzec, który zmarszczywszy gęste, obwisłe brwi, ociężała mała świecąca jego oczy, rozparł się wygodnie w miękkim krześle poręczowem. «Powiadam waćpanu, że go nieznam!» powtórzył oziębłe, gdy proszący ośmielił się jeszcze raz przedłożyć mu swe żądanie; «i niemożę przyjąć weksłu od pierwszego lepszego człowieka, który się mi nawinie.» — «Ależ mnie zapewniono, że waćpan znasz dokładnie wydawcę tego weksłu, i dla tego dano mi adres do waćpana.» — «Bardzo naturalnie, żeś waćpan musiał mieć adres, by mój dom wynaléżć; lecz ja nieznam waćpana.» — «Mieszkam przy ulicy *du Temple*, zowie się *Martin*, i jestem s profesyi złotnikiem;» rzekł wzywający pomocy, patrząc trwożliwie na starca, podczas gdy tenże przeglądał weksel, na którym było jego nazwisko i pomieszkanie zanotowane. — «Niejestem przy piędziach, a

przytém interes ten, niewart mego zachodu. Dom wprawdzie, na który weksel ten idzie, niejest mi nieznan; jednakże dziś tego weksłu przyjąć niemożę; przyjdź waćpan za dni ośm, a może wtedy będę przy piędziach, gdyż przez ten czas znaczna kwota wpłynie do mojej kassy.» — «Dopiero za dni ośm? to jest czas bardzo długi; mnie potrzeba téj kwoty już jutro, gdyż na nią rachowałem; albowiem przyznam się waćpanu, że o tém niewiedział, iż zamiast gotówki, weksel otrzymam. Byłbym waćpanu niezmiernie obowiązany, gdybyś...» — «Ależ do licha!» mruknął starzec, wlepiwszy przenikający wzrok w pobladłą twarz złotnika; «zawierz mi waćpan, iż dzisiaj wielką dla mnie przykrością ułatwienie tego weksłu — jednakże dla wybawienia waćpana s kłopotu przyjmę!» — «Lecz chciej być z łaski swojej umiarkowanym co do procentu!» — «Ile w mojej możności,» odrzekł starzec. Weksel, na 624 franków, opiewający na trzy miesiące *de dato*, porachowano po 18 od sta i wciągniono do książki rachunkowej. Biędny złotnik, usłyszawszy tak

wielki procent, mocno się zmartwił; ale cóż miał począć? Potrzebował koniecznie pieniędzy; nie mu niepozostało, jak tylko milcząc i nieczułemu lichwiarzowi gorzkim podziękować uśmiechem. — Razem tym biletem sprzedał złotnik Martin i wolność swoją. Po upływie bowiem terminu nie był w stanie zapłacić; podstępne bankructwo domu, który ten weksel wydał, pozbawiło go nawet wszelkiej nadziei zachowania się od zguby, gdyż zarobkiem s pracy swojej powrócić bankierowi drogo pożyczzone pieniądze, nie miał dostatecznego czasu.

W tym samym kupieckim domu, który przywiódł do upadku złotnika Martin, znajdował się pewien młody człowiek, nazwiskiem Jules Lenoir. Był on także expedytorem i synem bankiera przy ulicy *Barbette*; zresztą piękny, smukły chłopiec, mający lat dwadzieścia i dwa, gładką, rumianą twarz, pięknie strzyżony czarny wąsik, i długie, aż na szyję wedle ostatniej mody spadające włosy. Młody człowiek ten, nauczywszy się po grecku i po łacinie, otrzymawszy pier-

wszą nagrodę z wymowy i estetyki, wyszedł po to ze szkół, aby wstąpił do kupieckiego domu, i tamże układał pakiety lub podobne odbywał zatrudnienia. Dzięki jeszcze jenijuszowi i pilności jego, iż w tym zawodzie wkrótkim czasie nabył wielkiej doskonałości. Tym sposobem posunął się na wyższy stopień, i postępując coraz wyżej, dano mu pisać listy, załatwiać niejaka część korespondencyi, aż nakoniec ten wysoki osiągnął stopień, iż mu powierzono wynajdywanie dla obstalunków za granicę takich rzemieślników, którzy w zarobkowości wieczną ze sobą toczą wojnę, i stego powodu dla zgubienia siebie i drugich, za bardzo mierną robią cenę. Tym sposobem zabrał także znajomość z naszym złotnikiem Martin, do którego jednego razu przyszedł s poleceniem osadzenia kléjnotami wytwornego dyademu. A ponieważ przypadek zdarzył, iż jubiler ten miał bardzo piękną córkę, zarzucano Juliuszowi Lenoir w kantorze, iż nazbyt drogo za dyadem zapłacił; gdyż takowy zamówiony był dla pewnego kupca na prowincyę, który za towary także nie gotówką, lecz

weksłami płacił. W ten sposób tracą rzemieślnicy na dochodach swego zarobku, a kupcy panoszą się procentami!

Róża Martin była najładniejszą ze wszystkich dziewcząt, które w Paryżu trudnią się polerowaniem naczyń srebrnych; wszakże piękność ta niebyła jedyną jej zaletą. Słyszała ona prócz tego jako cnotliwa i dobrze wychowana dziewczyna. Od śmierci swojej matki, która prawie w tymże samym czasie umarła, w którym Róża skończyła swą naukę, bawiła zawsze przy swoim ojcu. Miała blisko lat osmnaście. Skoro po raz pierwszy ujrzała Juliusza Lenoir, już jej serce za nim przemawiać zaczęło; działo się to w tym samym dniu, gdy Juliusz przyszedł do jej ojca zamówić ów dyadem nieszczęsny. Jego sposób wyrażenia i zachowania się był tak ogładzony, całe ułożenie jego tak ujmujące, iż zaraz wpiérwszej chwili zjednał sobie przychylność Róży. Im skromniej wychowana i niewinniejsza dziewczyna, tém łatwowiejsza!

Jedno spójrzanie tego anioła, przekonało Juliusza Lenoir, który prócz tego o swoich osobi-

stych przymiotach miał dobre rozumienie, iż w sercu téj młodej, niewinnej dziewczyny, miłosne wzbudził uczucie. Niezaniedbał więc żadnego dnia dowiadywać się: czy spieszo idzie robota, i tym sposobem przywiązując się coraz bardziej do Róży, coraz niechętniej oddalał się z domu jubilera. Jednakże byłoby rzeczą osobliwszą, iż piérwszy raz w życiu uczuł w sercu swoim jakąś nieśmiałość, której dotychczas nigdy niedoznawał w obecności żadnej dziewczyny, chociaż w podobnych okolicznościach niebył bynajmniej bez doświadczenia.

Dotychczas nieśmiały on jej pisywać, a tém bardziej wspominać o swéj miłości; gdyż nietylko baczne oko ojca, który mógł zgadywać tych częstych odwiedzin powody, ale nawet skromne i niewinne serce dziewczyny nakazywały mu w téj mierze przeczorność i poważanie. — Nakoniec zaczął się przybliżać dzień, w którym miała być skończoną i oddaną robota, a miłość młodego Lenoir niepozyskała szczęśliwszego powodzenia. W tém będąc położeniu, musiał uzbroid się odwagą i napisał list, godny zupełnie ucznia, który z wy-

mowy i stylu pierwszą otrzymał nagrodę. Drogi bilecik ten, prześlągnięty wonią i blichtrami poezyjnymi, wywabiał pięknych ócz Róży rokoszne łzy miłości. Jednakże skoro pierwsze uniesienie radości przeminęło, Róża postanowiła odkryć wszystko przed swoim ojcem. Przyznała się przed nim, że kocha Juliusza Lenoir i pokazała mu list od niego. Ojciec, przekonany o niewinności i dziecięcym posłuszeństwie swęj córki, postanowił w tym względzie pomówić z nim osobiście, a gdy nazajutrz Lenoir przyszedł do jubilera o zwyczajnej godzinie, zastał go w pracowni samego.

Ojciec Martin nie był wprawdzie uczonym, ale jeden z tych prostych, otwartych, naturalnym rozumem obdarzonych ludzi, których bardzo często znajdujemy pomiędzy średnią klasą. Wychowanie, którego nieodebrał za młodu, starał się własnym zastąpić ukształceniem; tym sposobem nabył doświadczenia i wiadomości, dla których go, jako człowieka biegłego w swym zawodzie, a przytém mającego zdrowy rozsądek, powszechnie

poważano. Juliuszowi Lenoir wiadome były jego zalety, i dla tego, ujrawszy się z nim sam na sam, uczuł w sercu swoim jakąś obudzającą się nieśmiałość. Na twarzy złotnika panowała surowość i powaga. Juliusz domyślił się natychmiast, że Róża wszystko przed swym ojcem wydała. Nieumiał się więc znaleźć i zaczął od zwyczajnego zapytania: «No, jakże tam mości Martin? pracujesz waćpan pilnie nad dyademem?» — «Przeciwnie, pracuję teraz nad odpowiedzią na ów list, którym waćpan zaszczyciłeś moję córkę;» odrzekł jubiler z uśmiechem. — «Zawierz mi, panie Martin...» rzecze młody Lenoir pomieszany. — «Ja tylko w to wierzyć mogę, co waćpan w swoim liście mojęj córce wyraził, to jest: że ją kochasz i uszczęśliwić pragniesz.» — «O niezawodnie, panie Martin, bądź waćpan przekonany, że niemam innych, jak tylko te zamiary.» — «Jeżeli tak, to pięknie — to się mi podoba. Ale powiedzże mi waćpan, jakim sposobem starać się będziesz uszczęśliwić moję córkę?»

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)